Nr. 13. Lwów dnia 27. Kwietnia 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica Wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w *„Świcie"* wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych

Ogłoszenie przedpłaty.

Z dniem 1go Maja b. r. rozpoczyna się **nowy kwartał** naszego pisma, trwający do ostatniego Lipca b. r. Upraszamy o **rychłe** ponowienie przedpłaty, ażeby według tego zastosować liczbę nakładu.

Świt wychodzić będzie w dotychczasowym formacie, tak, że na każdy numer wypadnie $1^1/_2$ arkusza druku.

Cena kwartalna wynosi	w Galicyi	2	złr. w. a.;	w Niemczech	1 tal.	8 sgr.;	we Francyi 6 fr.
„ półroczna	„	4	„ „	„	2 „	15 „	11 „
„ roczna	„	8	„ „	„	5 „	— „	21 „

Prenumeratę należy przesyłać za przekazem pocztowym lub w listach frankowanych wprost do Redakcyi *Świtu:* Ulica Wałowa Nr. 19.

W przyszłym kwartale drukować będziemy obszerną powieść *Michała Bałuckiego:* **„Między niebem a ziemią"**;

najnowszą komedyę *Władysława hr. Koziebrodzkiego* **„W jesieni"** i sławny dramat *Michała Beera:* **„Struensee."** w przekładzie wierszem *Władysława Bełzy;*

poematy *Herdera:* **„Cyd"** i *Ossyana:* **„Karton"** w przekładzie *Władysława hr. Tarnowskiego;* jakoteż poezye *Michała Bałuckiego, Ernesta Buławy, Teofila Lenartowicza, Adama Pajgerta, Władysława Ordona* i innych;

szereg rozpraw naukowo-literackich, jako to: dr. *Adama Bełcikowskiego:* **„O poezyi polskiej XIX wieku i jej wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu."** dr. *Wł. Deisenberga:* **„O etnografii,"** *Wacława Gasztowta:* **„Rej i Montaigne,"** dr. *Gustawa Roszkowskiego:* **„O przywilejach i ceremoniach dyplomatycznych."** *Henryka Schmitta:* **„Duch i przyroda w dziejach,"** *Alfreda Szczepańskiego:* **„Tadeusz Kościuszko na tle najnowszych badań"** i inne.

Lwów dnia 17. Kwietnia 1872. **Od redakcyi.**

O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francyi,

przez

WACŁAWA GASZTOWTA.

(Ciąg dalszy.)

Niemniejszy wpływ a skuteczniejszy. wpływ że tak powiem dodatni, wywarł na poezyę francuzką XIX wieku Voltaira współzawodnik J. J. Rousseau. Ten przyniósł ze sobą nowe żywioły: nienawidząc społeczeństwa, wśród którego się wychował, wypowiedział wojnę jego zepsuciu, jego instytucyom politycznym, jego sztucznej literaturze i sztucznemu wychowaniu, mógłbym powiedzieć i jego sztucznej religii, a wywiesił nowy sztandar, na którym napisał śmiałą ręką: natura! Starał się więc zrehabilitować namiętność, którę zastąpiono galanteryą, starał się wynaleźć nowy ideał polityczny za pomocą samej tylko loiki, starał się zreformować

wychowanie idąc za wskazówkami natury, starał się nareszcie opierać filozofię i religię samą na podstawie naturalnej, bo na jednem tylko sumieniu. Popełnił w tem ogromnem, olbrzymiem przedsięwzięciu niemało błędów, skrzywił naturę chcąc jej odszukać, wstrząsł religią chcąc ją podpierać i w dziele o wychowaniu użył sam wyszukanych nazbyt sposobików chcąc tylko pomagać naturze; w polityce nareszcie rzucając podwaliny nowej ery — ery republikańskiej, otworzył jednak wrota niebezpiecznym a niesłusznym rewindykacyom stronnictwa socyalistycznego, niwelatorskiego, tak, że trudno bezstronnemu krytykowi powiedzieć czy więcej zasłużył się ludzkości, czy jej więcej zaszkodził. Ale pod względem czysto literackim dokonał najskuteczniejszej, najzbawienniejszej reformy, bo skruszył wszystkie przestarzałe jarzma, dał stylowi więcej prawdy i ognia i nareszcie obudził w pisarzach francuskich zamiłowanie do natury, której przed nim nie znali, a ta miłość natury, jako też ta mizantropia jego chorobliwa będą najwybitniejszemi cechami nowej poezyi romantycznej.

Tutaj się zatrzymujemy, bo inni pisarze XVIII wieku, chociaż przyczynili się do postępu nauki, jako to Buffon, Diderot, d' Alembert, żadnego jednak nie wywarli wpływu na poezyę XIX wieku.

Temu pobieżnemu przeglądowi literatury francuzkiej aż do końca XVIII wieku, przeciwstawimy teraz takiż sam przegląd literatury polskiej, abyśmy mogli poznać o ile nowa literatura skorzystała tak w jednym jak i w drugim kraju ze skarbów własnej przeszłości, zanim powiemy jakie obce żywioły przyczyniły się jednocześnie na początku naszego stulecia do nagłego rozkwitu poezyi romantycznej.

Średnie wieki, oprócz kronik łacińsko-polskich, żadnych pomników literackich nie zostawiły nam w spuściźnie, jednakże wypadki historyczne z czasów piastowskich, oraz pieśni ludowe, które w naszym wieku gorliwie zebrano, a które stały się, jak mówi Mickiewicz, arką przymierza między przeszłością a przyszłością, pozwalają nam sądzić o usposobieniach narodu skłonnego do marzenia i do czynów bohaterskich, tkliwego w uczuciach i w swojej ojczyźnie rozmiłowanego, a porównywając pieśni ludowe francuzkie z polskimi, powieści ludowe polskie z francuzkimi powieściami, można przekonać się, że różnice zachodzące między językiem polskim syntetycznym a francuzkim analitycznym równie zachodzić będą między literaturą prozaiczną i pozytywną Francuzów a literaturą uczuciową i poetyczną Polaków. W XV dopiero wieku literatura polska zaczyna używać własnego języka, ale pod wpływem starożytności zostająca, chociaż w XVI wieku z Rejem, Kochanowskim, Klonowiczem, Górnickimi umie połączyć swojski, narodowy żywioł z naśladowaniem form łacińskich lub greckich, chociaż w sielankach Szymonowicza, Zimorowicza i Gawińskiego każe pasterzom śpiewać często narodowe przedmioty i walki z Tatarami i Turkami, chociaż daleko już wtenczas patryotyczniejszą jest od francuskiej, a pod wpływem swobodnych instytucyi Jagiellonów nie bywa krępowaną przez dworską etykietę — jednak do XIX wieku nie idzie ona za popędem własnego tylko geniuszu, a nawet w XVII i XVIII wieku jest z małymi wyjątkami naśladowaniem poezyi i literatury francuzkiej, jest, jak powiada Mochnacki, tylko kopią kopii, bo w tych nieszczęśliwych wiekach brak poczucia samoistności narodowej zarówno zgubnie oddziaływa na literaturę jak na politykę. Tu i owdzie tylko satyrycy i pisarze polityczni lub kaznodzieje dają się słyszeć z wymownemi a bezskutecznemi napomnieniami. Naród, obcymi wpływami wykolejony i zdemoralizowany, własnemi wadami i nieoględnem przywiązaniem do nieograniczonych swobód ubezwładniony, cywilizacyą materyalną, handlem i przemysłem gardzący, a samem położeniem geograficznem wystawiony na wszystkie przedsięwzięcia zaborcze chciwych i silnie urządzonych sąsiadów, coraz bardziej zapomina o sobie; skład jego państwowy coraz bardziej ulega rozprzężeniu, aż zamachy niegodne trzech sprzysiężonych dworów niszcząc zupełnie państwo, wskrzeszają tem samem i budzą z letargu uspiony ale żyjący jeszcze naród, który na końcu XVIII stulecia i w początkach XIX odszukał nareszcie siebie samego, dzięki szczególniej poezyi romantycznej. Ogarnąwszy całą Europę, przybrała ona osobliwą, czysto-narodową, czysto-patryotyczną u nas cechę.

II.

Co spowodowało na końcu XVIII stulecia tę ogromną rewolucyę, z której wyszła poezya romantyczna, a za nią cała literatura nowa, swobodniejsza, zarazem szersza i głębsza, a to w całej jednocześnie Europie? Bliższe roztrząsanie tej kwestyi nie wchodzi w obręb naszego przedmiotu. Nie zboczymy jednakże od prawdy jeżeli powiemy że dwa uczucia, pierwsze d e m o k r a t y c z n e, któremu początek dały wielkie odkrycia naukowe i mechaniczne, postęp dobrobytu i oświaty, drugie zaś f i l o z o f i c z n e, wynikające z coraz częstszych stosunków między narodami europejskimi a zatem z zapłodnienia, że tak powiem, myśli jednego narodu myślami drugiego, a przez to okazujące potrzebę wyższej jakiejś syntezy, rozszerzenia sfery umysłowej, szukania ideału w dalszych strefach po za literaturą klasyczną i filozofią Descartes'a i Locka; te dwa uczucia, mówię, z których pierwsze objawiło się szczególniej we Francyi, a drugie w Niemczech otworzyły nowy widnokrąg umysłowi ludzkiemu. R o u s s e a u jest najdobitniejszym wyrazem pierwszego, a G o e t h e, który jemu tyle zawdzięcza w swym Werterze, był najświetniejszym tłumaczem drugiego we Fauście.

Około tych dwóch nazwisk należy skupiać wszystkie inne; literatura angielska, przynajmniej poezya romantyczna w Anglii, temi dwoma uczuciami żyje. Czem jest Robert Burns, jeżeli nie energicznym, nieszczęśliwym apostołem demokracyi w Anglii, jeżeli nie uczniem genewskiego filozofa? A nie mówiąc o Wilhelmie Cowper, który sam o tem nie wiedząc styl poetyczny demokratyzuje, ani o pierwszych romantykach angielskich, którzy przeciw klasycznej formie zbuntowani, chcieli zastosować do użytku poezyi zwyczajny język rozmowy, jaki jest używany w średniej i najniższej klasie, nie mówiąc o Walter Skocie i o Southey, z których pierwszy tworzy poezyę historyczną, a drugi poezyę filozoficzną na tej samej co inni zasadzie, czy lord Byron nie jest jednocześnie zbuntowanym przeciw społeczeństwu swego czasu demokratą z arystokratycznego pochodzenia, a zarazem zrozpaczonym, jak Faust, poszukiwaczem niedoścignionego piękna, niedoścignionej prawdy, po za światem klasyków, po za teoryami poprzednich filozofów, po za dogmatami wszystkich na świecie teologów?

W Niemczech począwszy od Lessinga i mistyczny Klopstock i czuły a genialny Schiller, a po nich Rückert i Heine podobnymże wpływom ulegli i za ich działaniem stworzyli poezyę filozoficzną i historyczną, z której wysnuły się potem szkoła filozoficzna, panteistyczna i szkoła historyczna, krytyczna i erudycya: bo te nauki są dojrzałym owocem tegoż drzewa, którego bujnem kwieciem była naprzód poezya romantyczna.

Obok tych dwóch głównych czynników, możnaby przytoczyć mnóstwo jeszcze innych; poprzestaniemy tutaj

na pobieżnem wykazaniu kilku tylko żywiołów składających nową atmosferę poetycznę XIX stulecia. A naprzód zamiłowanie natury. Po raz pierwszy objawia się to uczucie w dziełach autora „Nowej Heloizy,“ po nim uczeń jego i przyjaciel Bernardin de St. Pierre tak w cudnej powieści Paul et Virginie, jak w poetyczno-naukowych rozprawach o przyrodzie daje znać rodakom swoim o tem, że natura jest niewyczerpanem źródłem pociechy dla duszy zbolałej, a niemniej obfitem źródłem natchnienia dla wyobraźni poetycznej; Châteaubriand, rzucony także przez wypadki na dalekie brzegi, maluje przepyszne widoki dziewiczej przyrody nowego świata i powiększa to zamiłowanie do zapoznanej piękności natury. Nareszcie burze polityczne, rewolucye, wojny, wszelkiego rodzaju nieszczęścia, które od r. 1792 do r. 1812 zalały krwią Europę całą, musiały skłonić czułe dusze do zanurzenia się w tem uzdrawiającem źródle spokoju, do szukania odpoczynku na łonie wiecznie młodej matki natury; a panteistyczne dążenie filozofii niemieckiej, jak z jednej strony zasilało siebie tem uczuciem, tak z drugiej nie mało się przyczyniło do większego jego spotęgowania: tak że nawet wierzący poeci Boga w naturze jednej wielbią i odszukują, a mimowiednie, jak Lamartine, wpadają w nieokreślony jakiś poetyczny panteizm.

Okoliczności historyczne, oprócz tego zamiłowania do natury, inne jeszcze budziły w sercach ludzkich uczucie, inny wybuch miłości wywołały. Wówczas jak nigdy opanowało dusze przywiązanie do ojczyzny; wówczas patryotyzm stał się równie źródłem natchnienia. Równie gwałt popełniony na polskim narodzie przez trzy sprzysiężone dwory, jak niesłychane upokorzenie ludzkości niemieckiej stratowanej kopytami Napoleonowego rumaka, a później podobne upokorzenie francuzkiego narodu, zmuszonego przyjąć od najeźdźców narzuconą władzę, wydobyły ze strzaskanych serc boleścią krzyki rozpaczy, wołania o zemstę, hymny napełnione miłością do nieszczęśliwej Ojczyzny. Gdzie natchnienie takie było najczystszem, najpotężniejszem i najpłodniejszem? gdzie Ojczyzna uwieńczoną została najidealniejszymi kwiatami i promieniami? dlaczego tak było? co z tego wynikło? na te i tym podobne pytania znajdzie czytelnik odpowiedź w dalszym ciągu tego studyum. Po tem wstępnem badaniu początków i źródeł polskiej i francuzkiej poezyi romantycznej, przystępujemy teraz do ścisłego ich porównania. (C. d. n.

ŚWIĘTO MAJOWE,

poemat

z czasów pogaństwa Słowian łużyckich

przez

ROMANA ZMORSKIEGO.

(Dokończenie.)

URYWEK DRUGI.

Na niebie błysnął pierwszy dzień maju —
Z śpiewem skowronka po serbskim kraju
Gwar się radośny rozlega.
Między górami, w cichem ustroniu,
U Gromadnika, *) na bujnem błoniu,
Skrytemi ścieżki tłum ludu się zbiega.
Z dala od oczu zaciętych wrogów,
Ojców zwyczajem
Cieszyć się majem,
Uczcić pamięć dawnych Bogów.

Wśród smugu zielona,
W wstęgi wystrojona,
Wysmukła Meja się chwieje;
Przy niej do okoła,
Młodzież się wesoła
W narodowe wiąże reje.
Trójstrónne gęśli **) śpiewają rzewnie,
Pyzata kobza pomruka gniewnie;
W okrąg radośny
Brzmi śpiew rozgłośny,
Dyszący bujnym tchem wiosny:

„Zaśpiewajcie! wyskoknijcie!
„Weselcie się młodości!
„Z czary życia rozkosz pijcie!
„I zrywajcie kwiat miłości!
„Bo gdy śniegi spadną,
„Róże lic pobladną,
„Daremna się smucić,
„Błogich dni nie wrócić!...“

W tem na stromym boku góry
Zaszeleściały gałęzie,
Z suchym chrzęstem po opoce
Potoczył się żwir popchnięty
I z głębi ciemnej gęstwiny,
Z za gaju świerków zielonych
Nagle na wązkiej się ścieżce
Postać ukazała wzniosła,
Widmu białemu podobna,
Od stóp do głów w białej szacie,
Z szeroką, jak pancerz srebrny,
Na pierś spadającą brodą;
Z zielonym wieńcem na skroni,
Z długim, białym, zakrzywionym
Kosturem w lewem, z płonącą
Smołną w prawem ręku żagwią.
Radośna zgraja spojrzała
Ku górze — i jak rażone
Gromem, naraz nieruchomie
Stanęły koła szalone,
W niesfornie zmięszanym jęku
Huczna zaniemiała gędźba.
Z zadziwieniem, z święta zgrozą,
Z uśmiechem, z dech tłumiącem
Oczekiwaniem, wlepili
Wszyscy wzrok w postać znajomą.
Takim niegdyś, za dni lepszych,
Niedawno jeszcze minionych,
Ze szczytu góry Biel-Boga,
Od wieszczebnego kamienia,
Zstępował kapłan najwyższy
Ku zgromadzonemu tłumie
Ludowi, imieniem Bóstwa
Wojnę zwiastować mu świętą.
Lecz dnia onego krwawego,
Gdy siedm serbskich wojewodów
Rozpacznie walcząc do końca
Przeciw nawałowi wrogów
Legło na górze Lubinie,
Z dziewięcią tysięcy swoich, *)

*) Gromadnik (Hromadnik) nazwa góry, podług podania ztąd pochodząca, że na niej zwykł się był lud zbierać okoliczny na obrady, lub na wyprawy wojenne wyruszyć mając.

**) Dotąd jeszcze utrzymują się w użyciu trójstrone skrzypce huślami zwane.

*) Podanie o bitwie na górze Lubinie, w której poledz miało siedmiu wodzów, czyli królów serbskich, dotąd utrzymuje się tu między ludem.

*

Wróg zwycięzki na bezbronną
Rzucił się górę Biel-Boga.
Ściął święte dęby, kamienne
Ołtarze strzaskał i zwalił,
Spaliwszy na nich ostatnią
Straszną ofiarę z kapłanów,
Wieszczów, guślarzy i wszystkich
Ojczystej wiary czcicieli,
W pogromie chwili ujętych.
Od poranku do wieczora
Skwierczały na stosie ciała
I rozlegały się jęki
Konających męczenników
Zmięszane z wściekłym chichotem
I z radośnem wyciem Niemców.
Odtąd dziesięć lat ubiegło —
Milczącą pustką została
Głośno niegdyś czczona góra —
I w całej Serbów krainie
Nigdzie nie zajrzałeś okiem
Ojczystej wiary kapłana.
Zkądże dziś zjawia się nagle,
W pośród radośnego święta
Z płonącą wojny pochodnią?...
Człek li to żywy? czy mara?...
Nowe niedole i klęski,
Czy zwrot dni lepszych wieszcząca?...

On zstąpił tymczasem z góry
I kroki uroczystymi
Zbliżał się zwolna ku tłumom.
Już z niedaleka rozeznać
Lica zwiędniałe starością,
Ale rumiane krwią żywą,
I żywym ogniem natchnienia
Płonące siwych ócz dwoje.

Wzrok to i lica nie obce!
Starców źrenice przymglone,
Utkwione w nich, młodocianym
Płonąć poczynają blaskiem —
Przygasłą iskrę pamięci
Cichym rozdmuchują szeptem —
Aż nareszcie przypomnienie
Jasnym płomieniem wybuchnie:

— „Dalibór!... Tak, to on iście!
Przed lat dziesięcią ostatni
„Najwyższy kapłan Biel-Boga,
Wieszcz jego — ludu wyrocznia.“
Z ust do ust, chciwie chwytana,
Wieść-jaskółka w krąg obiega
Gwarem półgłośnym, aż naraz
Radości grzmiący krzyk jeden
Bije w niebiosa wysokie.
I oto cała czerń mnoga,
Jak stado ptactwa w popłochu
W koło matki się cisnące,
Ciśnie się k' świętemu starcu —
Niewiasty i dzieci drobne,
Starcy, mężowie, młodzieńce —
Biją o ziemię kolanem,
Całują ręce i szaty,
Błogosławiąc głośno Boga.

„Chwała bądź Bogu dobremu!
Chwała wielkiemu Biel-Bogu!
„Po latach mnogich sieroctwa
Że się nam znowu zlitował!
„Wysłuchał biadania ludu,
Wieszcza nam zsyła swojego!...“

„O, mów! przemów do nas, Ojcze!
Powiedz, jakim bożym cudem,
„Uszedłeś śmierci straszliwej
W noc krwawą lubińskiej klęski?
„Lub wracasz li do nas z białych
Popiołów z martwych powstały,
„Zakończyć nasze niedole —
Powrócić nam czasy dawne
„Swobody, siły i chwały?...

„O, mów! ozwij się k' nam, Ojcze!
W ustach twoich wola Boga —
„Rozkazuj, rządź nami, prowadź
Drogą Jego — dzieci twoje!...“

Starzec szeroko nad ludem
Oba rozciągnął ramiona —
(W lewem ręku kostur krzywy,
W prawem miał żagiew płonącą)
I jako na widok skrzydeł
Jastrzębich, w górze rozpiętych,
Milkną świegotliwe stada.
Tłum nagłą zaniemiał ciszą.
Wśród ciszy wzniósł się głos wieszcza:
„Łaska wielkiego Biel-Boga,
Moc jego, światłość i chwała,
„Dzisiaj i po wszystkie czasy,
Bądź z tobą ludu ty wierny!
„Sercem iż otwartem witasz
W pośród siebie jego sługę,
„W dniach ucisku iżeś wytrwał
Przy czci jego — wrogom k' woli
„Nie zaparłszy swego Boga!...“

„Zbożny, kto z nim żywot wiedzie!
Błogosławiony, kto w jego
„Sprawie poniesie śmierć krwawą!...
Błogosławieni ci wszyscy
„Ojcowie i bracia nasi,
Legli na górze Lubinie
„I w płomienistej męczarni
Na świętej górze Biel-Boga!
„Duchy ich jasne, jak brzaski
Jutrzni, swobodne wzleciały
„W gwieździstego wrota raju
„Pieśnią sławioną witane,
Na wieczne z ojcem gody...
„Mnie — wyroczna wola Boga
Chwały ich dzielić nie dała!
„W noc jedną straszną, jam siedział
Samotny na szczycie skały,
„Czekając gońca od naszych,
Lub jakiego z nieba znaku
„O końcu i losie boju.
Napróżno! Północ mijała —
„Z nikąd ni znaku, ni gońca!...
Jam jeszcze czekał upornie,
„Daleko w ciemności nocne
Stare wytężając oczy,
„Jak gdybym przebić mógł niemi
Góry, lasy i noc ciemną.“

„W tem poczułem na mem czole
Niby wiew jakiś cudowny;
„Szmer dziwny tajemnych głosów
Napełnił ucho — przed okiem
„Niby zasłona błyszcząca
Z mgły mlecznej drogi śrebrzystej
„Rozciągała się, kryjąc wszystko —
I uczułem jak powieki
„Niewidzialna mimo woli
Do snu zwierała siła.
„Sen mnie ogarnął — sen wieszczy;
I w śniem posłyszał gromowy
„Głos Boga, do mnie mówiący.“

„Słuchaj, co mówię do ciebie —
Rzekł głos — i spełń coć rozkażę.
„Wodzowie wasi i woje
Legli na górze Lubinie
„Wrogów przemocą i zdradą.
Za chwilę Niemcy tu przyjdą,
„Wytną poświęcone drzewa,
Obalą moje ołtarze,
„Wytępią moich czcicieli,
Ty jeden żywy zostaniesz.
„Pójdziesz gdzie cię duch powiedzie —
W długą po świecie tułaczkę.
„Aż kiedyś po latach wielu,
Znów poślę cię między lud mój,
„Wolę zwiastować, moc moją,
Wzywać na nowy bój święty.“

„W tem zbudził mnie szczęk oręża,
Zgiełk, jęk, śmiechy, blask bijący.
„Niemcy zalegali górę —
Trzaskali wieszczebne głazy.

„Cięli poświęcane drzewa
I na stos je święty wlekli.
„U stosu, w pętach skrwawionych,
Leżeli wieszcze kapłani,
„Z tysiąca serbskich pojmańców,
Z nieszczęsnej lubińskiej klęski,
„Na śmierć w płomieniach wskazani.
Niemcy piwali im w oblicza
„Jasne, ku niebu zwrócone,
Z wściekłą uciechą kalecząc
„Mieczami bezbronne ciała...
Żal srogi ścisnął mi serce —
„Ciężko samemu uchodzić,
Gdy tysiące braci ginie!
„I raz pierwszy serce krnąbrne
Stawiąc rozkazowi Boga,
„Cisnąłem się między wrogi
Pośrodkiem ognisk błyszczących —
„Ocierałem się koło nich —
Próżno! Cudowna ślepota
„Kryła krwi chciwe ich oczy —
Nikt mię nie ujrzał, nie wstrzymał.
„Wyrok Boga stać się musiał
W przekór upornej mej woli!...“
„Ukorzony opuściłem
Górę świętą i kraj ojców.
„Tajemny głos ducha wiódł mnie
Pomiędzy narody bratnie,
„Szeroko ziemię dzierżące.
Jak daleko się rozlega
„Święta ojców naszych mowa,
Byłem u wszystkich czterdziestu *)
„Ludów słowiańskich — czciciele
Niegdyś jednego Boga,
„Dziś różnym Bogom niosących
Objaty i sercem sobie
„Obcych — aż się znów niem kiedyś
W jednej boskiej złączą wierze.
„Miłą uchu, słodką sercu,
Bratnią wszędy witam mowę,
„Zaledwie gdzieś do spoczynku
Znużoną skłoniłem głowę,
„Tęsknym gnany niepokojem
Dążyłem dalej — podobien
„Bydlęciu, wytęknąć chciwemu,
Biczem pasterza gnanemu.“

„Tak przebłądziłem lat dziesięć —
Stary już żoraw wędrowny,
„Wśród gór dzikich i pól żyżnych,
Siół rozpierzchłych i miast ludnych,
„Bagnisk i stepów bezdrożnych —
Nieprzebytych puszcz milczących,
„Wzdłuż huczących wałów morza
I ryb obfitość niosących...“

„Aż wreszcie — przed dni niewiela —
W ostatnią pełnię miesięczną —
„W krainie potężnych Polan,
Nad wielkiem Gopłem jeziorem,
„Gdy w pośród nocy gwiaździstej,
Pod starą lipą szumiącą
„Samotny klęcząc, ku Bogu
Gorące wznosiłem modły —
„Łaska jego znowu na mnie
Po latach zstąpiła mnogich.
„Jako niegdyś bywać zwykło,
Sen wieszczy ujął mnie znowu
„I we śnie tym, jako niegdyś,
Posłyszałem z serca drżeniem
„Głos potężny mego Boga...
I oto, jego rozkazem,
„Staję dziś pomiędzy wami,
Z płonącą wojny pochodnią,
„I starym ojców zwyczajem,
Trzęsąc ją nad głową, wołam:

„Precz z weselnymi pląsami!
Z pieśniami wesela precz!
„Wojna! to wojna! to wojna!
„Czciciele Białego Boga
Dalej! za topór! za miecz!
„Niech cała ziemia wasza wzdłuż i w szersz
„Powstanie mieczami zbrojna,
„Włóczni grotami zewsząd sterczącą jak jeż!!...

*) Zliczywszy mnóstwo plemion, na które wówczas dzieliła się wielka rodzina Słowiańska, a z których każde jako udzielny występowało naród, liczba czterdziestu nie za wielką zapewne się znajdzie.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Zastosowawszy powyższe szczegóły ze świadectwem Lopez'a o podobieństwie jednego z trzech nieznajomych do Księcia Pokoju, mimowolnie wpadłem na myśl, że był istotnie pomiędzy nimi. Mnogie powody mogły skłonić takiego człowieka do tajemniczej wycieczki w głąb kraju — powody administracyjne, polityczne, osobiste. Wszak był pierwszym ministrem, wielkim admirałem, absolutnym kierownikiem rządu. Mógł mieć potrzebę przypatrzyć się zbliska i przysłuchać temu, co z wysokości oficyalnej pozycyi jego, z Madrytu i Aranjuez, było dlań niewidzialnem i bezgłośnem. Wiedzieliśmy już o przechodzie wojsk francuskich przez Valladolid, Salamankę, Ciudad-Rodrigo do Portugalii. Cała północna Hiszpania brzmiała rozgłosem trąb, głoszących światu bliski upadek Bragancldego domu. Nie był to więc czas normalny, czas zwyczajnego stanu rzeczy. Nikt nie wątpił, że się wielkie gotowały zdarzenia — złe? czy dobre dla Hiszpanii? Bogu jednemu było wiadomo. Co do mnie, utwierdzałem się coraz więcej w przekonaniu, że z racyi powyższych okoliczności, dość ważnych żeby pobudzić dwór hiszpański do użycia miar nadzwyczajnych, Książe Pokoju przedsięwziął rzeczywiście tajemną podróż obserwacyjną i gościł o tej porze *incognito* pod uprzejmym dachem Lopez'a.

Z tłumu, co mi tak energicznie przychylność swoją okazał, ledwie kilku w sali pozostało. *Mayorale* pędzili dalej swoją karawanę mułów. Gil Galego drzemał w kącie po rzęsistych libacyach. Dwóch *bandollerów* to samo czyniło z addytamentem straszliwego chrapania. Wyszedłem na podwórze. Trzy konie stały u żłobu, do którego przy świetle latarni Lopez obroku nasypywał. Były to konie andaluzkie, rącze i zwięzłe. Piękne siodła z całym podróżnym przyborem na nich leżały. W olstrach tkwiły pistolety.

— *Caramba!* — mówił Lopez do mnie, ukazując z uśmiechem pożądliwość na konie — *Muy nobles!* nieprawdaż? A lotne jak strzała — *como una saeta!* Niejednego warte *maravedi!* hein?

W tej chwili nadjechało kilku konnych podróżnych. Lopez pospieszył na ich przyjęcie. Było ich

pięciu. Czterech weszło do *venty*. Piąty został przy koniach.

Noc była ciemna. Usiadłem na odłamie opadłego gzymsu niedaleko głównego wnijścia *venty*. Gęsty krzak róży zasłaniał mię zupełnie. Po tylu przygodach dnia tego potrzebowałem samotności, skupienia się w sobie uczuciem i myślą. Ciało było znękane—lecz jakże więcej znękaną była dusza moja! Wszak jedna tylko, nie więcej jak jedna przebiegła doba od chwili ucieczki mojej z domu Dona Perez'a Vasconvallos. Żywo bolała rana serca i grubą żałobą ćmiło się jeszcze jestestwo moje. Carmen — matka — ojciec—rzewne i bolejące postacie świętemi spojnie ze mną złączone, a jednak opuszczone przezemnie ukazywały się kolejno przed oczyma duszy mojej, w coraz głębszą unosząc się dal przestrzeni, w coraz mglistsze sfery czasów, niknąc nakoniec zupełnie w nieprzejrzanych mrokach przeszłości, jakby mi chciały przepowiedzieć wieczne z sobą rozstanie, wieczne doczesne sieroctwo! Czemuż opierałem się porywom naglącym mię do powrotu? Czemu wzbraniałem się uczynić czegom tak pragnął gorąco? Wszak obowiązek skazujący mię na wieczne rozstanie z Carmen nie sprzeciwiał się bynajmniej połączeniu mojemu z rodzicami? Taż sama cnota, co chciała, żebym pozostał uczciwym człowiekiem, chciała także, żebym nie przestawał być dobrym synem. Żywo objawiały się te prawdy w uczuciu i myśli. Pojmowałem ich treść gruntowną, ich zbawienność i opatrznościowe znaczenie. A jednak nie one to, nie one odniosły nademną zwycięztwo! Niepojęta siła jakaś krępowała najlepsze moje postanowienia, najchwalebniejsze zamiary. Prąd jakiś nieprzezwyciężony zdawał się porywać mię i unosić. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że tą siłą była moja własna słabość! Że tym prądem nieprzezwyciężonym był własny mój poryw ku czemuś nie dającemu się nawet określić stanowczo, ująć myślą w treść i formę!

Samotne dumanie moje przerwało nagłe zbliżenie się kilku osób, które wyszły z *venty* półgłośną tocząc rozmowę. Mówiłem już państwu, że noc była ciemna i że kryjówkę moją gęsty krzak róży osłaniał. Nikt zatem z rozmawiających nie mógł mię dostrzedz.

— Czy oni będą tu nocować? — zapytał ktoś z gorączkowym pospiechem.

— Będą *sennor* — odpowiedział głos Lopez'a. — Przygotowałem dla nich pokoik na górze, w drewnianem przybudowaniu.

— Gdzie ono?

— Tam *sennor*, gdzie wisi latarnia nad wnijściem.

— Czy innych drzwi nie ma?

— Nie ma *sennor*.

— Jak się nazywasz?

— Lopez Aguaviva.

— Otóż mosanie Lopez Aguaviva uważaj dobrze, co tobie powiem. Jeżeli się ktokolwiek dowie o tem cośmy dopiero mówili, będzie to twoim wyrokiem śmierci. Jesteśmy przybocznymi dworzanami księcia Asturyi, prawego następcy tronu Hiszpanii, a osoba, którę tu spotkaliśmy jest największym jego wrogiem, a tem samem wrogiem kraju i narodu. Biada więc temu ktoby stanął na drodze naszego zamiaru! lub ktoby nam do uskutecznienia onego nie dopomógł! Twój los od ciebie zależy. Słyszałeś?

— Uczynię *sennor* jak i co mi rozkażesz.

— Otóż wryj sobie w pamięć każde moje słowo— inaczej biada temu co w twej skórze chodzi! Wracaj natychmiast do sali i pozostań tam na usługi tych panów. Skoro się udadzą na spoczynek do swego pokoiku, zaczaj się pod ich drzwiami z uchem u klamki i podsłuchuj bacznie każde ich słowo — rozumiesz? Każde ich słowo!

— Rozumiem *sennor*.

— A jak zasną, dasz nam znać. Będziemy czekać w sali. A teraz idź, dokąd rozkazałem.

Po odejściu Lopez'a dyalog rozdrobił się na cztery głosy naprzemian odzywające się.

— To on! Poznałem go, choć się skrywał w cieniu.

— Tak — to on! A tamci dwaj to Yzquierdo i Cevalos zaprzedani jemu nikczemnicy. Nie udało się im zmylić mojego oka.

— *Debemos gracias a Dios* za ten bogaty połów! Trzy takie ryby w niewodzie szczęście nie lada!

— Dziwne zdarzenie i niespodziane! W Madrycie myślą, że zajęty sprawami państwa w Aranjuez. W Aranjuez myślą, że gra w Don-Żuana u nóg swojej huryski*) w Buen-Retiro. A jegomość zwija się tymczasem po wielkich drogach gdyby Don-Kichot jaki. Radbym wiedzieć dokąd się puścił i poco?

— Nie trudno odgadnąć. Francuzi, **) jak wiadomo, wstąpili do Hiszpanii jako sprzymierzeńcy księcia Asturyi przeciw partyi dworu i Godoya. Otóż nie ma wątpliwości, że ta jego tajemna wycieczka ma na celu ciemną intrygę, za pomocą której spodziewa się przeciągnąć wzgląd cesarza Napoleona na swoją stronę ze szkodą księcia Asturyi. Niedarmo wziął z sobą przebiegłego kręciciela Yzquierda, który był jego agentem politycznym w Paryżu, zkąd niedawno powrócił.

— Rzeczywiście, musi być jakeś powiedział. Tem gorliwiej należy nam wziąć się do dzieła. Ani on ani żaden z jego towarzyszy wyjechać ztąd nie powinni. Ta *venta* niech będzie szkopułą, o którą rozbiją się ich zamiary. Ale cóż zrobimy z nimi?

— *Per Dios!* śmieszne pytanie! Czy nie myślisz czasem grać w filantropa? Zapomniałeś widzę o swoim toledańskim sztylecie. Mało twego? Uderzą nasze!

— Będą się bronić!

— Damy im zasnąć.

— *Caramba!* nie pomyślałem o tem. Tak! Niech zasną, żeby się nie obudzić! Niech się obudzą, żeby zasnąć na wieki!

— Śmierć im! Śmierć podłemu parweniuszowi, co z prostego żołdaka wzniósł się aż do pałacu królów ku hańbie tronu i zniewadze kraju! Patrzcie! jak się rozgospodarował w Hiszpanii! Co było szlachetniejszego odtrącił — co wyższego, zdeptał! Książęta San-Carlos i Infantado, margrabia Ayerbo, hrabia Orgas, czoło hiszpańskiej *grandezzy* na wygnaniu. Ktokolwiek życzliwy księciu Asturyi (*idolo de todos los buenos Espagnoles*) zginął już lub jeszcze zginie. Ponieważ zasiewał burzę, niechże burzę zbiera! Ponieważ deptał drugich, niechże sam będzie zdeptany, jako gad jadowity!

— Śmierć jemu! śmierć!

— Śmierć! — powtórzyli wszyscy ze stłumioną wściekłością i weszli do wnętrza *venty*.

Byłem przerażony tą sceną tajemniczego sprzysiężenia się na życie trzech ludzi, nieświadomych niebezpieczeństwa, a więc bezbronnych jak dzieci. Myśl mającego się dokonać morderstwa w sposób taki nikczemny, bo nad sennymi, poruszyła mię do dna wstrętem, oburzeniem, litością i wywołała gorącą żądzę niesienia ratunku ofiarom gotującego się zamachu. Pojąłem z tego com słyszał, że główną sprężyną niecnej akcyi był ów podły Lopez, judasz frymarczący sumieniem za pieniądze. Należało więc usunąć go czemprędzej ze sceny, jakimby to nie było fortelem. Plan działania zabłysnął gdyby

*) Panna Tudo podniesiona do godności hrabiny Castolfiel.

**) Takie było powszechne mniemanie w Hiszpanii na początku 1808 r.

nagłe natchnienie w umyśle moim. Wbiegłem do *venty* i zacząłem termosić gwałtownie Gil'a Galega co już ostatki swego upojenia wysypiał. Zerwał się stary *matador*, przetarł zaspane oczy, zamruczał coś pod nosem i znowu się zaczął moderować do horyzontalnej pozycyi na ławie, w projekcie odnowienia przerwanej biesiady z Morfeuszem, gdy uprzedzając zwłokę ztąd powstać mogącą, krzyknąłem mu tak ostro do ucha zwykłe hasło cyrkowych igrzysk: *al toro! al toro!* *) że się wnet ocucił zupełnie, skoczył na nogi i poznawszy mię zapytał uprzejmie, co miałem do rozkazania?

W jednej chwili wyprowadziłem go na podwórze. Opowiedziałem co słyszałem i wezwałem pomocy jego w celu niesienia ratunku Księciu Pokoju i jego towarzyszom.

*) Do byka! do byka!

— Chętnie *sennor*, uczynię to dla ciebie — rzekł Gil Galego — choć Bogiem a prawdą ten Książe Pokoju nie wart żeby się dobrzy ludzie nim interesowali.

— Niech go Bóg sądzi! — przerwałem — Dla nas on nie książe, nie grand hiszpański, nie minister wszechwładny, ale człowiek, bliźni, brat, zagrożony niebezpieczeństwem! Sam Bóg każe nieść jemu braterski ratunek. Chodźmy więc! chodźmy!

Ponieważ w sali nie było już ani księcia, ani jego towarzyszy, pojąłem, że odeszli na spoczynek i że następnie dostojny Lopez musiał być o tej porze na swojem szpiegowskiem stanowisku.

Gil Galego był tego zdania, żeby nań napaść znienacka, zakneblować mu gębę i związanego na głuche węzły rzucić do jamy co była niegdyś wnijściem do podziemnej kryjówki od dawna zawalonej.

(C. d. n.)

Historyozofia J. W. Drapera.

(*History of the intellectual developement of Europe, by John William Draper. M. D. L. L. D. in two volumes, London 1864.*)

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Prawo w całem świecie panuje i nie ma zjawiska takiego, któreby prawu nie ulegało. Myślano długo, że jakiś tajemniczy żywotny dech włada organizmatami żyjącymi, ale odkryto, że zwierzę i człowiek to tylko machiny, których ruchy dają się wytłumaczyć prawami chemii i mechaniki. Do dzisiaj ogół myśli, że człowiek w czynach swoich wolny, stanowi wyjątek z pod wszechwładztwa praw nieubłaganych, ale jeśli to prawdą, to tylko o tyle, o ile to dotyczy czynów ludzi pojedyńczych. Ktoby spojrzał na działanie ludzkości jako zbiorowej jednostki, tenby musiał przyznać, że podobna do organizmatu tym samym prawom, co i organizmat ulega.

Wszystkim wiadomo, wszyscyśmy z tem oswojeni, że jednostka się rodzi, wzrasta i starzeje, że wzrostowi i rozkładowi fizycznemu towarzyszą wzrost i rozklad moralny, a dola pojedyńczych ludzi jest wiernym obrazem doli całych narodów i ludzkości.

Nieznane nam urodziny fizyczne człowieka, ale musiały być one podobnemi do urodzin narodu, które w ten sposób się odbywają, że pewna ilość ludzi powolnie się przyzwyczaja do wpływów danego klimatu, przybierając odpowiednią temuż fizyczność. Jaką zaś jest śmierć ludzkości, tego już nam Draper nie mówi i tylko wskazuje co do narodów na ten fakt, że nowi przybysze wypierają dawnych mieszkańców z ich sadyb, że przeistaczają typ ich i zatracają ich język. Toby się jednak chyba naówczas dało zastósować do śmierci ludzkości, gdybyśmy myśleli, że przybędą jacyś goście z innego planety i że naszą ziemię podbiją obywatele Marsa lub Jowisza.

Ale umysłowa młodość i starość rodzaju ludzkiego stanowi właściwy przedmiot badań Amerykanina. Jawi się ona tem, podług niego, że coraz nowe pojęcia i wyobrażenia owładają społeczeństwo, że coraz odmienne namiętności pobudzają ludy do czynów. Ludzkość to organizmat złożony z tysiąca części, a organizmat osobno, każda jego część osobno się rozwija. Ludzkość chowa w swojem łonie starsze i młodsze narody, stany i jednostki, tak jak ciało posiada dawniejsze i nowsze części składowe chemiczne. Sami jesteśmy we wieku męztwa, ale wszystkie wieki trwają współcześnie na ziemi i ztąd to możemy wiedzieć z doświadczenia jak wygląda zgrzybiałość narodu.

Już bardzo dawno Indye i Egipt odbyły cały bieg żywota i przeżywszy wiek męzki skonały. W czasie, w którym Europa była pogrążoną w najgłębszej ciemnocie, kwitły nauki i sztuki nad Gangesem i Nilem, a ludzkość europejska dopiero zaczęła się wychylać z powicia, w chwili gdy mędrcy podrównikowi wypowiadali ostatnie słowo swej wiedzy: Panteizm. Nie wiemy dokładnie o tem jak wysoko się wzniosła myśl kapłańskiego Egiptu, podziwiamy loikę i głębokość Bramanizmu, ale w Budaizmie widzimy najwyższy wyskok ludzkiej myśli, przez Drapera w następujący tu sposób streszczony.

Podstawą Budaizmu: uznanie najwyższej potęgi a zaprzeczenie najwyższej istoty. Jeźli Budaizm uznaje Boga, to nie uznaje Stwórcy. Stwierdza istnienie siły i samoistnego plastycznego żywiołu, ale przeczy samoistnemu, wiecznemu i osobistemu Bogu. Mówi, że możemy znać zjawiska ale nie możemy znać ich przyczyny, że świat zewnętrzny jest tylko fantasmatem wciąż się przeistaczającym, a że początkiem i końcem człowieka: nicość. Oto nauka, której równej nie wydała dotąd Europa i oto wiara przez większą część ludzkości od trzech tysięcy lat wyznawana.

Badać rozwój narodów możemy dopiero w Europie i to najpierw w Grecyi, która przed Europą przez te same stopnie rozwoju co Europa przechodziła. Najpierw pogrążona w stanie dziecięcym, każdej gadce wierząc, utworzyła bogaty panteon i fantastyczną wiedzę. Potem poruszona widokiem Egiptu poczęła odgadywać prawdę za pomocą chłopięcych domysłów i tak bezskutecznie umysł swój ćwicząc doszła wreszcie do sofistyki co dawny gmach bajek obaliwszy, nic stałego natomiast postawić nie umiała. Ogół niepokoił się ruiną dawnych pojęć, ale Platon wiedział, że wrócą pod nowemi nazwiskami. Sokrates i Platon wraz ze Stoikami, Epikurejczykami i średnią

Akademią stanowią wiek młodzieńczy Grecyi, wiek wiary. Sokrates był to próżniak i nicpoń, a Platon tracił czas na daremnych mrzonkach wyobrażając sobie, że przedmioty wszystkie podwójnie: w idei i w rzeczywistości istnieją i że ciała niebieskie — śpiewają.

Dopiero podboje Macedońskie rozwierając przed zadziwionemi oczyma Greków bogactwa Azyi rozpoczęły wiek męztwa Heleńskiego. Aristoteles pierwszy zaczął trzeźwo gromadzić fakta, a za jego przykładem poszło świetne muzeum Aleksandryjskie, które przeżywszy mistrza potrafiło się ustrzedz wszelkich mrzonek metafizycznych, nie mogących gdzieindziej jak do zupełnego sceptycyzmu doprowadzić.

We wieku umysłowej starości popadła Grecya w neoplatonizm, teurgią i taumaturgią. Stwierdziła jednak przed skonem tę prawdę, że duch ludzki wszędzie do jednakowych dojść musi wyników, wypowiadając to samo co pierwej wypowiedziały Egipt i Indye. Wygłosiła bowiem panteizm twierdzący, że Bóg to nieosobiste i nieokreślone prawo świata a dusze, to istoty wychodzące z nicości i do niej wracające. W tej zgodności ostatecznych wyników, do których tak różnorodne doszły cywilizacye, leży najpierwsze świadectwo prawdzie. Filozofia darmo usiłowała dociec prawdy i tu jak we wszystkiem dopiero empiryczna, doświadczalna nauka może do niezbitych pewników doprowadzić. Oto owa masa komórek organicznych, którę człowiekiem zowiemy, czyli raczej zbiór jednakowych jednostek ludzkością zwany musi ze siebie stopniowo różne wydawać pojęcia i różne przekonania, a przekonanie jawiące się p o d c z a s n a j w y ż s z e g o r o z w o j u n a r o d u i l u d z k o ś c i jest p r a w d ą. Pojedyńcze organizmaty powstają, błądzą i nikną, organizmat zbiorowy także powstaje i niknie, ale tylko czas jakiś błądzi, a potem niechybnie do prawdy dociera.

(C. d. n.)

MĘCZENNICY FANTAZYI,

N O W E L L A

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Dokończenie.)

Cichy poranek zimowy białemi skrzydły otulał Wangeroge, spokojny powiew muskał fale morza mieniące się różnobarwnie, czasami przesuwał wesoły statek i powiewał żaglami w cichej żegludze; pomiędzy mieliznami a skałami wyspy kołysały się lekkie rybackie łodzie.

„Szumią i szumią fale z fałami
I pokrywają skrzydeł puchami
W głębi tajemnic śpiącą toń!...
A potem fala krążąca, wirowa
Plusnąwszy, aż na dno pod tonią się chowa —
Spoczęła, zginęła! nie pytaj o nią!...
I nikt nie zbada z powierzchni sądzący
Jakiemi drogami ten bałwan szumiący
Wędruje, gdzie płynie, gdzie ginie...
Gdzie cel samotnej a tęsknej żeglugi,
Gdzie wypełnienie podróży tak długiej,
Nim falą w inne fale się rozpłynie?...“

Z pomiędzy małych chat wyzierał rybacki kościółek. Była niedziela. Głos organów i śpiew choralny rozlegały się nad brzegiem. Obok kościoła mały zakątek służył za cmentarz — dwaj wędrowcy weszli furtką cmentarną.

— Wszyscy są na mszy — rzekł Saint Clair — nie dopytamy teraz nikogo, chodź raczej do kościółka.

Fryderyk się zawahał. Ujął rękę przyjaciela. Choral: *Eine feste Burg ist unser Gott!* rozbrzmiewał się potężnie w tych małych murach, mimowolnie pochylili głowy pod wpływem tej potęgi zawartej w pieśni religijnej. I przystąpili do wrót kościoła.

— Patrz tam! — rzekł Fryderyk, oglądając się raz jeszcze po za siebie i oko jego spoczęło na świeżutkim grobie, który dziwnie wyzierał z pomiędzy innych śniegiem pokrytych i już nieczytelnych.

Trwożnie przystąpili bliżej, Saint Clair pierwszy dostrzegł napis — chciał wstrzymać przyjaciela, kiedy Fryderyk rzucił się ku krzyżowi, odsłonił świeży jeszcze wieniec na nim zawisły i przeczytał:

„*Zuzanna Gontard.*“

Twarz jego dotknęła się mogiły — niemy, ostatni i pierwszy — złożył tam pocałunek.....

Umilkły organy, zwolna wychodzili ludzie z kościoła i stało się tak cicho, że słychać było uderzanie fal o wybrzeże. Wesoło przyświecał planeta ziemi po całunach śnieżnych i falach jaszczurczych... nad niemi unosiła się mewa, jak myśl wesoła młodości, ale wśród tej słonecznej rozkoszy, właśnie rozdarło się jedno ludzkie serce...

„Jedno miejsce i godzina
Łączy straty i zdobycze,
Gromów trzaski, słońc oblicze —
Wspólna ludziom, grób, dziedzina.“

Niewiele mógł Saint Clair dopytać od miejscowych. Gontard przybył na czas jeszcze, by być przy skonie ukochanej żony. Przybył w sam ostatni wieczór, kiedy mu się udało szczątki majątku uratować i kiedy myślał już o odbudowaniu go z gruzów. Zaraz potem opuścił wyspę wraz z Almą i Orbesem. Wprowadzono przyjaciół do komnaty kędy skonała Zuzanna, kędy świat doczesny zamieniła na tak ukochany świat ideałów. Zwiędłe kwiaty jeszcze nie uprzątnione leżały na stole przy jakiejś otwartej książce... był to H y p e r i o n Fryderyka i listek powoju oznaczał to miejsce.

„I myśmy się nie rozstali! Jesteśmy żywymi tonami, zestrajamy się w tobie, naturo! Jak niezgoda kochających się, są dyssonanse świata: połączenie wśród rozterki — i wszystko co rozłączone złączy się na nowo!...“

Obok tego ustępu ledwie czytelne ołówkiem były nakreślone słowa:

„*Swemu Hyperionowi Diotima.*“

Wiosenna Wielkanoc ożywiła naturę, która cała zdała się z długiego snu przebudzoną. Tłumami snuli się ludzie po ulicach Tübingi, grupy hożych dziatek igrały po gazonach. Wesołość panowała wszędzie, natura rozrzucała majowe girlandy. I między spiewakami Szwabii panował ruch niezwykły. Mattison potrafił ułatwić wydanie poezyi Fryderyka, które ogólnie zostały powitane wszechstronnem uwielbieniem. Dzielny Neuffer i serdeczny Schubart zostali wybrani, by pysznie oprawny egzemplarz ofiarować zgrzybiałej matuli poety. W ogródku przed nizkim domkiem siedziała sędziwa staruszeczka, smutna, zamyślona, używająca hojnie świecących słonecznych promieni, przypatrująca się z spokojnym uśmiechem starości snującym się ulicą różnobarwnym tłumom ludzi młodszych od niej, może przyszłości pełnych, myślała sobie...

Powitała znajomych z prostotą macierzyńskiego wzruszenia, a przycisnąwszy księgę do piersi, rzekła:

— Tak! to mój drogi marzyciel! tak brzmi tylko lutnia, której sam Pan Bóg strony ponaciągał. A kiedyż ja go obaczę i przytulę!... To co najlepsze w życiu przecie nieme pozostaje, tak w pieśni jak w rzeczywistości!

Saint Clair się ukazał. Matrona podała mu rękę:

— Nie powinno cię było brakować w dzień urodzin duchowych mego Fryderyka. Ale tyś go widział ostatni, gdzież jest i co się z nim dzieje?...

— Zacna pani... jestem posłanym... od tygodnia oczekuję Fryderyka... nie... — tu się odwrócił — ja jej prawdy powiedzieć nie potrafię...

Wszedł jakiś pan z panią. Byli to Orbes i Alma. Do nich zwróciła się pytając staruszka.

— Jutro! jutro! — odpowiedziano jej — otrzymamy nowe o nim wieści.

Pocieszali i rozrywali staruszkę, którę w kilku dniach nauczyli się wielbić jak rodzaj wyroczni. Były to głosy syna, które mówiły przez usta matki. Wola brata, potęga wdzięczności, (!) prawdziwa stałość Orbesa przezwyciężyły wstręt Almy. Na krótko przed śmiercią Zuzanny otrzymawszy ostatnie jej błogosławieństwo zawarła związki dożywotnie. Do niej tedy rzekł Orbes:

— Próbuj, może ty będziesz mogła jej to powiedzić...

— Co?!...

— Niestety! prawdę! chodź ze mną...

Odjechali w stronę przeciwną miasta Tübingi i stanęli — przed szpitalem... Po przejściu długiego korytarza doszli do furty, na której był napis „Oddział dla obłąkanych.“ Alma ledwie odetchnąć mogła — straszne przeczucia dech jej zaparły, niemo szła naprzód jak posąg woli. Przeszli obok mnóstwa komórek, z których dzikie i dziwne wołały głosy i rozlegał się chód wartownika. Promień słoneczny błądził wśród tych ciemnych zakątków. Alma nie mogła iść dalej. Orbes objąwszy ją czule, rzekł:

— Nie mogę ci go oszczędzić, droga żono, tego chrztu boleści, dotknie on ciebie ognistym mieczem swoim i spadnie z twych oczu błędna przepaska ideału. Od robaka bóstwo w nas zawisło, a ci co o tem nie pomną stają się: „męczennikami fantazyi.“ Kończą jak nasza Greczynka „Korynna północy“ albo gdy Bogi groźniejsze, jak ten opłakiwany, nieszczęśliwy!...“

Stali przed ciemną izdebką, przez wązką kratę widać było postać zdziczałą, obłędną, wpatrzoną w jakiś obraz, wymawiającą niezrozumiałe wyrazy.

Po nad celą był napis:

„Fryderyk Hölderlinn.“

Wielką i wspaniałą jest natura tam, gdzie przebywa w pełni swojej, wzniosła nawet w zburzeniu własnego dzieła, w zdumiewającym spokoju krocząca majestatycznie wśród stworzeń swoich. By się stała użyteczną, poddać się musi kształtom i prawom, które uśmierzają jej dzikość, siłę równoważą, drogę wskazują i gwałtowne tryby zestrajają z całością stworzenia. Nie inaczej bywa z atomami wszech ducha, które ludźmi zowiemy, z których każdy dla siebie i w sobie powołanym się zdaje przedstawiać stworzenie, a jednak tylko we wspólności z czynnikami i prądem ogólnego rozwoju działać mogą skutecznie, to jest, by to co dobrego działają, w skutkach ich tu przeżyło. Na tej skale społecznej, w tem powołaniu do uszczęśliwiania drugich i siebie, z odwołaniem się wprost do niezmiennej prawdy, która „z głębi ducha ludzkiego jak Tytan z łona Etny grzmiący się odzywa“ na tej to opoce strzaskało się wiele serc najszlachetniejszych. Skały te z świadomością umieć wyminąć zdaje się być zadaniem postępowego wieku — już świta!

Z takiemi myślami nosząc się Orbes wyszedł z szpitalu, wywlekając z niego wpół martwą żonę. Lecz jakże się rachmistrz przerachował — od tego dnia czarny cień smutku nieodłącznie opanował Almę, która wszystkie chwile wolne poświęciła matce Fryderyka. Sędziwa matka zniosła cios ten z poddaniem się woli bożej, które sięgało bohaterstwa.

Co dnia Saint Clair przynosił wieści o stanie cierpiącego, a promyk nadziei, jaki zabłysnął czasem z jego polepszeniem ożywiał obydwie niewiasty.

Współczucie całego kraju zaszczytnie okazywało się stroskanej matce, zapytywania Goethego, listy Szyllera, dowody przyjaźni najznakomitszych tego czasu ludzi zapytujących o syna, byłyby mogły jej serce przepełnić dumą, gdyby nie było złamane — boleścią, która na resztę uczyniła je obojętnem. Cała skupiona w sobie liczyła zawsze na miłosierdzie boskie ratunek zsyłające.

Minęły lata, sztuka lekarska rozbiła się o chaos dziwnie zorganizowanego umysłu i psychologia nie wiele mogła tam zdziałać. Kiedy ujrzał Almę rozpłakał się i zawołał boleśnie:

— Diotima!

Rzadko rozmawiał z przyjaciółmi młodości, muzyka została mu najmilszą towarzyszką ale i w niej równie jak w późniejszych poezyach coraz trudniej dopatrzyć było związku, energicznej przewodniej myśli i ładu.

Wreszcie musiano ustąpić uporowi macierzyńskiemu, który miał święte prawa. Żądała raz jeszcze widzieć — syna! Pozwolono — liczono nawet na wpływ dobroczynny tego wrażenia. Niestety! chory zapadł od tej chwili w najgwałtowniejsze wybuchy, a matka — biedna matka! przypłaciła tę chwilę śmiercią! Alma ją pochowała......

Gwiazda po gwieździe gasły na jej niebiosach, raz powiedziano jej, że Orbes i Gontard postanowili przenieść się do Ameryki i szukać „szczęścia“ pieniężnego po za oceanem. Rzuciła garstkę ziemi na wszystkie wspomnienia i poszła za nimi, posłuszna, milcząca jak zwykle, spokojna.

Wstąpili na ląd nowego świata.

Po latach otrzymała z przyjaznej ręki świstek zapisany, przypominający żywcem pogrzebanego:

Proste drogi.

„Tego, kto ci duchem krewny
Umiluj sercem bez końca,
Toruj ślad drogi niepewnej,
Co stromo wiedzie — do słońca!

Tysiące marnie cię miną
Bez znaku na twe wezwanie,
Lecz pierwsze wiatru powianie
Ślad ich zawieje — i zginą!...
A gdy ów jeden się zjawi

Rad dzielić z tobą pożycie,
Niech mu twe serce zostawi
Wszystko — czem bogate życie!...

Ernest Buława.

KONIEC.

Przegląd literacki

Wyprawa kijowska Bolesława Wielkiego. Napisał Jan Karlowicz. Poznań, nakładem Jana Konst. Żupańskiego, 8vo 1872.

Różne są zdania historyków o powrocie Bolesława Chrobrego z wyprawy kijowskiej r. 1018. Sołowiew i Roepell idąc za Nestorem twierdzą, że książe ruski Swiętopełk kazał wymordować Polaków, a Bolesław uciekł z Kijowa, zabrawszy ze sobą siostrę Jarosława, mnóstwo jeńców i bogate łupy; w powrocie zdobył grody czerwieńskie oderwane od Polski przez Włodzimierza. Szajnocha pierwszy zwrócił uwagę na sprzeczność w powyższem twierdzeniu: Bolesław uciekając z Kijowa przed zemstą wzburzonego ludu, nie mógł zabrać ze sobą skarbów i siostry Jarosława, nie zdołałby uprowadzić znacznej liczby jeńców wojennych a nadto w powrocie zdobyć całej prowincyi. Sprzeczność ta odejmuje doniesieniu Nestora wszelką cechę prawdopodobieństwa, a wiadomość tę tem bardziej musimy uważać za mylną, ile że współczesny Thietmar, który chętnie doniósłby o klęsce Bolesława, wyraźnie powiada, że Bolesław „wesół powrócił do domu.“ Z tem wszystkiem Szajnocha rzeczy tej zupełnie nie wyjaśnił, kombinując bowiem opowiadanie Galla z Thietmarem, każe Bolesławowi wracać po 10 miesięcznym pobycie w Kijowie, t. j. w Czerwcu 1019 r. i odnosi świadectwo biskupa merseburskiego, zmarłego Igo Grudnia 1018 r. do wypadku, który miał się wydarzyć w pół roku po jego śmierci.

Aby ciekawą tę kwestyę wyświecić, zajął się autor powyżej przytoczonej rozprawy gruntownem zbadaniem źródeł do tego wypadku się odnoszących. Dwaj pisarze na szczególną zasługują tu uwagę: Thietmar jako współczesny i od uczestników tej wyprawy (owych 300 rycerzy niemieckich, których cesarz Henryk Bolesławowi posłał na pomoc) dokładne mający relacye i Nestor jako źródło miejscowe. Świadectwo Galla, o sto lat później piszącego, którego opowiadanie o Bolesławie Chrobrym ma wszelkie cechy podania ludowego, odrzuca p. K. zupełnie. Pozostaje zatem tylko Nestor i Thietmar. Nestor pisał swoją kronikę w sto lat po zdobyciu Kijowa przez Bolesława Chrobrego, szczegóły swego opowiadania czerpiąc z tradycyi miejscowej. W pamięci Kijowców mięszało się wspomnienie o zajęciu ich grodu przez Chrobrego z tradycyą o Bolesławie Śmiałym: obydwaj przedsiębrali wyprawy na Ruś w celu intronizacyi spokrewnionych z nimi książąt ruskich. Autor nader trafnie wykazuje analogię tych dwóch wypadków. Podobieństwo tych dwóch wypraw z łatwością mogło sprowadzić pomięszanie się niektórych rysów, przeniesienie ich z jednej na drugą. Jeżeli przypuszczenie to samo przez się jest prawdopodobne, to w obec sprzeczności zawartej w opowiadaniu Nestora nabiera niemal cechę pewności.

Na takiem rozumowaniu oparty i w obec wyraźnego świadectwa Thietmara o szczęśliwym powrocie Chrobrego, dochodzi autor do następujących wniosków: 1) Bolesław w kilka tygodni po zdobyciu Kijowa wrócił dobrowolnie do kraju, tak iż Thietmar, zmarły Igo Grudnia 1018 r., mógł jeszcze o tem donieść w swej kronice; 2) wiadomość o wymordowaniu Polaków i ucieczce Bolesława, znajdująca się u Nestora pod r. 1018 i 1069 odnosi się tylko do wypadków z r. 1069, do wyprawy kijowskiej Bolesława Śmiałego.

W pracy pana Karłowicza widzimy wiele uwag trafnych, wywodów nader logicznych i jeżeli nie usunął wszelkich w tej kwestyi wątpliwości, to w każdym razie przyznać należy, iż pracą swą wielce się przyczynił do rozjaśnienia tych ciekawych wypadków, które objaśnić niejedno już usiłowało pióro.

Akta Grodzkie i Ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej, z Archiwum tak zwanego Bernardyńskiego we Lwowie w skutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stadnickiego wydane staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego. Tom III. We Lwowie 1872. 4to str. VII i 313.

Próżną byłoby rzeczą dowodzić, jak ważnymi są akta dyplomatyczne dla dziejów narodu, mianowicie zaś dla wieków średnich, których szczególnie pod względem wewnętrznych stosunków i obyczajów nieliczne i niedokładne źródła wcale nie mogą rozjaśnić. Śp. Aleksander hr. Stadnicki poznał całą ważność aktów złożonych w tak zwanem archiwum bernardyńskiem i testamentem z roku 1855 zapisał cały swój majątek w sumie 40.000 złr. na wydawnictwo tych aktów. Tem większą jego zasługa, że przystęp do tego archiwum prywatnym ludziom był bardzo utrudniony. Ponieważ jednak fundator zapisał odsetki od tegoż kapitału w dożywocie swej matce a po śmierci tejże braciom, a zarazem w testamencie oświadczył, że jeżeli najdalej w cztery lata po jego śmierci (umarł w. r. 1861) wydawnictwo nie przyjdzie do skutku, ofiaruje ten kapitał na dobudowanie wieży kościoła katedralnego we Lwówie, aby nie stracić zapisu, Wydział krajowy ofiarował na ten cel pewną sumę rocznie, która miała być później z odsetków od zapisanego kapitału zwróconą.

Tak wyszedł w r. 1868 tom pierwszy tych aktów pod redakcyą komisyi złożonej przez Wydział, a której sekretarzem był pan Lucyan Tatomir. Ponieważ jednak w skutek takiej pracy zbiorowej okazał się brak jednolitego planu, powierzył Wydział dalszą redakcyę Drwi Ksaweremu Liske, który już w r. 1870 tom drugi tychże aktów wydał. *)

Z początkiem tego roku opuścił prasę tom trzeci, który mamy przed sobą. Zawiera on w ogóle 130 dokumentów *in extenso*, mianowicie 76 z wieku XIV i 54 z wieku XV. Prawdziwą zasługę przyznać należy komisyi, która nie zadawalniając się oblatami z archiwum bernardyńskiego, bardzo często mylnymi w skutek nieumiejętności przepisywaczy, starała się o ile możności

*) Wyczerpującą krytykę pierwszego tomu przez Dr. Stanisława Warnkę znajdzie czytelnik w *Dzienniku literackim* z r. 1868; tomu drugiego przez Dra Wincentego Zakrzewskiego w tymże *Dzienniku* z r. 1870. Również pobieżny więcej przegląd tych dwóch tomów podał ks. kanonik Ignacy Polkowski w artykule „Kodeksa dyplomatyczne polskie“ w *Przeglądzie Lwowskim* z r. 1871; odpowiedź Dra Liskego na ten artykuł znajduje się w zeszycie ósmym tegoż *Przeglądu* z r. 1871.

o oryginały, których jej kilka miast, jako też Zakład Ossolińskich i biblioteka hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego dostarczyły. Na uznanie zasługuje także naprzód to, że po każdym oryginale lub pierwszej kopii załączono potwierdzenia z lat następnych, a powtóre, że tak w tym jak w drugim tomie zachowano pisownię oryginałów o ile możności jak najstaranniej. Przy wydaniu bowiem pierwszego tomu nie uważano na ogólnie przyjętą zasadę, że pisownię oryginałów należy zachować, a zmodernizować ją można tylko w kopiach z lat późniejszych, ponieważ w takim razie nie wiele na niej zależy.

Każdy dokument opatrzony jest nagłówkiem, podającym króciutką treść jego, na końcu podaną jest wskazówka, w jakim stanie każdy dokument lub pieczęć do niego dołączona obecnie się znajduje, a w odsyłaczach znachodzimy bardzo staranne objaśnienia, dotyczące bądź to imion ludzi zkądinąd znanych, bądź miejscowości, teraz nieco odmienne noszących nazwisko, bądź też pojedyńczych wyrazów, jeżeli takowe były już drukowane, a później innymi zostały zastąpione; wszystkie te dopiski ułatwiają badaczowi w wysokim stopniu pracę. Wreszcie pod tym względem należy przyznać obecnemu tomowi wyższość nad poprzedniemi, że przed nagłówkiem każdego dokumentu podane są miejsce, rok i dzień, w którym został wystawiony, podczas gdy u tamtych jest podane tylko miejsce i rok.

Nakoniec kto miał do czynienia z podobnymi dyplomataryuszami, wie jak ważnym bywa w takich razach dokładny indeks, a przyznać należy Drowi Liskemu, że przez niego sporządzony jest dziełem wzorowo dokonanem.

Podajemy tych kilka pobieżnych uwag, ażeby zwrócić uwagę, że wydawnictwo to uległo w swej obecnej formie znacznym ulepszeniom i nie zasługuje już bynajmniej na czynione mu dawniej przez krytykę zarzuty.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(*Stasio*, tragedya w 5 aktach Karola Szajnochy).

Znakomity historyk, zanim stanowczo swój umysł ku pracy nad dziejami skierował, łamał się parę razy z trudnościami formy dramatycznej, chcąc pisać dla sceny, jakby nie przeczuwał, że wysokiem jego zadaniem będzie przedstawić nie losy człowieka, ale wspaniały dramat dziejowy — narodu. I daleko mu bardziej do twarzy z rylcem historyka.. Umysł jego odnajdujący harmonię w nieładzie historyi i wynoszący z niej ten pewnik moralny, że w przestrzeni czasu gorycze chwili się łagodzą a zbrodnie karzą, nie umiał się jakoś znaleść wobec dramatu osobistego, gdzie występek i cierpienie trwa jedną chwilę a ma przedstawiać wieczność... Dlatego dał nam w „Stasiu“ (przedst. d. 22. b. m.) utwór pozbawiony wszelkiego pozytywnego rezultatu moralnego, nie zawierający żadnej prawdy, ani żadnej wskazówki... Dramat ten nie ma podstawy w życiu, bo życie nie daje podobnych przykładów, nie ma podstawy w prawidłach obyczajowych świata, bo etyka nie każe, aby się tak działo... Nie jestto więc ujęcie w dramat, powtarzającego się ciągle zjawiska ludzkiej natury jak sceptycyzm Hamleta, duma Koryolana, potworna ambicya Ryszarda III, ale nagi fakt niczem nie uzasadniony, który miałby w opracowaniu dramatycznem pewne uzasadnienie, gdyby został dramatycznie pojętym. Ale popatrzmy czy tak?

Pułkownik (p. Baranowski) wydaje córkę Klarę (panna Rudkiewiczówna) za chłopca, wychowanego prawie na łonie natury, jedrnego w swej prostocie i kochającego tak mocno, jak tylko kochają natury pierwotne, szczere, z takiej szkoły życia wyszło, jak Stasio (p. Ladnowski). W testamencie jednak przekazał Stasiowi umierający stryj warunek, że dopiero po odbyciu trzyletniej podróży (w jakim celu?) może posiąść spadek — dopiero wtedy może się więc i ożenić. W chwili gdy młody turysta „z konieczności“ ma się już udać w podróż i przecierpia najtrudniejszą chwilę rozstania z kochanką, wsącza mu cyniczny Edmund, który nie wiemy czemu, utracił wszelką już wiarę do świata a szczególnie do kobiet, szatańskie podejrzenie, że Klara po jego wyjeździe o nim zapomni. W chwili takiego rozdrażnienia wewnętrznego rzucić takie słowo, mgliste, połowiczne a wstrząsające do szpiku, znaczy usunąć grunt z pod nóg człowiekowi. Stasio robi układ z Edmundem. Przez rok ma zupełnie zamilknąć i usunąć się daleko a Edmund tymczasem robić wszelkie wysilenia, aby Klara w nimże samym się zakochała. Edmund ręczy, że tego dokona — jeżeli nie, odda po roku Stasiowi anioła! Jeżeli autor chciał, aby tak się stało, naturalnie, że stać się musiało. A nawet trochę byłoby dziwnem, gdyby było inaczej?... Rok cały milczeć mimo przyrzeczeń — nie jestże to samemu wrzucić do wyobraźni kobiety żagwię podejrzenia, że birbantując z gryzetkami w Paryżu dawno się o niej zapomniało?... Romans Klary i Edmunda więc skojarzony — a Edmund, który się znudził nazbyt dlań czystą, chociaż dawno zaręczoną sobie Lucyą (pani Szymańska), na dobre pokochał Klarę. W chwili zamiany obrączek pomiędzy Klarą a nim bije godzina epokowa — rok mija od wyjazdu Stasia a jego zegarek się nie spóźnia — turysta staje we drzwiach i widzi cudowną grupę upojonych sobą kochanków.

Staje nowy układ między obu młodzieńcami zarówno dziwaczny jak ów pierwszy. Stasio ma prawo zażądać od Edmunda zadośćuczynienia za wydarcie mu narzeczonej, kiedy zechce, kiedy Edmundowi życie najdroższym będzie klejnotem. Tymczasem ubiera draperyę lazarona i staje się rozpitym włóczęgą. Przerażająco ale i z mistrzowskimi efektami są kreślone sceny, w których Stasio okryty żebraczym łachmanem, wije się pod wężowymi splotami cudownych pamiątek zmarnowanego uczucia i żądzy szatańskiej zemsty. Lucya tymczasem, wzgardzona kochanka Edmunda, który poślubił następnie Klarę, mści się z równąż srogością. Gdy Edmundowi narodziły się bliźnięta, wykrada jedno z nich a podsuwa dziecko chłopskie. Przed zgonem, który sama sobie zadaje, odchyla połowę zasłony z tajemniczej przeszłości: powiada Klarze że jedno z jej dziatek jest podrzutkiem, ale które?... Tu Lucya umiera — Klara rzucona w podwójny dylemat: które z dwóch tych jest własnem jej dzieckiem? i gdzie, w jakiej nędzy tuła się drugie, przez Lucyę wykradzione?... Jest to pomysł ze strony poety przerażający w swej tragiczności ale i wspaniały, prawdziwie oryginalny, po Szekspirowsku silny. Za pomocą Stasia, który w długiej tułaczce pozbył się już zamiaru zemsty, a Klarę ciągle ubóstwia, odszukuje Edmund drugie dziecię a w chwili najwyższego szczęścia, zjawia się przecież jego dawny, pozornie już zażegnięty rywal, w którym przygaszony chwilowo zamiar odżył tem silniej na nowo — następuje spodziewana dawno scena — Edmund ginie wybrawszy zły los, od strzału własnego pistoletu, Klarze pęka serce — na ruinach domu zostaje Stasio, opiekun przyszły dwojga chłopiąt.

Treść dramatu wskazuje już sama dokładnie jego wysokie zalety i zarazem fałszywą podstawę całej kompozycyi. Jest nią przedewszystkiem nieuzasadnione niczem

zawiązanie. W duszy Stasia nie było żadnych danych na obudzenie się ciemnego podejrzenia, w otwartej grze uczuć Klary żadnego motywu, aby ufność jej kochanka przeszła tak szybko w powątpiewanie. Wszystkie więc przejścia stworzone na tle takiego założenia, tracą swą głęboką, psychiczną potrzebę, nabierając pozorów wyszukanego efektu. Jeżeli w charakterach obojga kochanków nie leżała konieczność rozbudzenia się podejrzeń, natenczas sztuczne ich wywołanie przez trzecią osobę nie wywołuje wrażenia ani prawdziwego, ani tragicznego. Byłoby pięknem, gdybyśmy z duszy Stasia dojrzeli wyłaniającego się demona, któryby nim powoli zupełnie owładnął i wskazał mu tory postępowania będące naówczas dziwnymi, ale pełnymi logiki. Tak samo, jak owo zawiązanie, tak i dalszy rozwój charakteru Stasia mało ma w sobie prawdy i wewnętrznej konieczności, a już od początkowej sceny zatartem zostało całe piętno właściwej poezyi, skoro pierwszem potrąceniem Stasia do roli dramatycznej, jaką gra w sztuce, nie jest głos silnej namiętności, ale trzeźwa refleksya, zamiar osnuty prawie z filuternem wyrachowaniem. Słusznie ktoś powiedział, że zawiązanie „Stasia“ nadałoby się raczej do wybornej komedyi.

To wszystko jednak, com tu powiedział, nie osłabia głębokiego wrażenia, jakie wywiera ten dramat. Szajnocha nie umiał kreślić stosunków konwencyonalnych, zwykłego toru życia, bo gdy pisał „Stasia“ za mało znał jeszcze powszednią jego postać. Dlatego dwa pierwsze akty, obracające się w kole prawidłowych stosunków, rażą co chwila fałszywymi zwrotami sytuacyi i nienaturalnemi przejściami uczuć, ale gdy mu przyszło unieść się na skrzydle samorodnej fantazyi, stworzyć typ pierwotnej natury, odmalować Stasia w stanie prawie zdziczałym, mającym w sobie coś ze szpiku Kalibana, okazał się Szajnocha malarzem o wielkich pomysłach i wielkiej sile pędzla.

P. Ładnowski (Stasio) odczuł wszystkie intencye poety i przesunął nam znowu przed oczyma mistrzowsko oddaną postać. Na pół pijana, na pół rzewna spiewka w karczmie była przerażającem w swej grozie arcydziełem, a gdy w końcu IV aktu Stasio szamoce się z powstającym w duszy na nowo demonem, czuć było herkuliczną walkę dwóch atletów, widomego z niewidomym, nie tę łatwą igraszkę człowieka z próżnem widmem, które tak często spotyka się na scenie.

Zresztą przedstawienie nie wykraczało ani na chwilę z granic mierności. Panna Rudkiewiczówna (Klara) miewa role, w których gra z rzadkim wdziękiem, ale nie ma takich, w którychby grała z prawdziwą siłą tragiczną. Przytem zna panna R. wybornie patologię duszy i ciała — gdzie o to chodzi, gra jej nie zostawia nic do życzenia—ale gdzie potrzeba oddać tak tytaniczną scenę, jak scena matki nie wiedzącej, które z dwóch jest jej dzieckiem, tam ani głos nazbyt suchy, ani gra fizyognomii i ruchy nazbyt konwencyonalne nie pozwalają pannie R. wyzyskać wszystkich rolę stanowiących momentów.

* * *

„Rola Klary powinna się była dostać, podług mego zdania, pannie Deryng.“ Tak napisał krytyk *Gazety Narodowej* (J. T.). Jakkolwiek i ja mam przekonanie, że tylko panna D. zdołałaby oddać tę rolę z wstrząsającą do głębi siłą, nie na to jednak pragnąłbym zwrócić tu uwagę. Chciałbym podnieść rzecz ogólniejszą. Nie umiemy sobie wytłumaczyć, dlaczego Dyrekcya tak często obsadza role najważniejsze artystkami drugorzędnemi, które im przy najlepszych chęciach nie sprostają, podczas gdy oszczędza nad miarę, powiedziałbym, skąpi nam podziwiania swych artystek najznakomitszych... Panią Aszpergerowę widzieliśmy w przebiegu całego miesiąca raz tylko w roli księżnej Marlborough („Szklanka wody“), pannę Deryng raz tylko w ważniejszej roli Anieli („Śluby panieńskie“), panią Nowakowską zaledwie dwa lub trzy razy... Tak to się dzieje, że sztuki mogące utrzymać się stale w repertoarzu przy właściwej obsadzie, upadają lub w przedstawieniu nie czynią należytego wrażenia... Nie chciejcie światła stawiać pod korzec, bo nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje. Mówię dziś tylko o personalu kobiecym—tyle zaś dodam, że te same słowa dałyby sie odnieść prawie w całości do obsady ról męzkich... Ale to już przedmiot na dziś za obszerny.

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

Za kilka dni już przybędzie do naszego miasta długo oczekiwany, sędziwy poeta **Seweryn Goszczyński.** Sądzimy, że ostatniego z wielkiej plejady wieszczów narodowych przyjmie miasto z godną siebie uprzejmością i uczuciom swoim nada wyraz odpowiedni — silny. Nie przesądzamy zresztą w niczem formy, w jakiejby uważano stosownem urządzić przyjęcie.

CZASOPISMA. „*Promyk,*“ *pismo dla młodzieży pod redakcyą Władysława Bełzy.* Kwartał I. Lwów. Richter 1872. Gorąco polecamy to pisemko redagowane z rzadkim talentem, wybornie umiejącym zastósować słowo ciepłe i patryotyczne do młodocianych umysłów. Wiązanka artykułów umieszczonych w niem dotychczas jest bardzo wdzięczną i urozmaiconą. Miłe powiastki J. Gordona i Pauliny Wilkońskiej, prześliczne wierszyki Wł. Bełzy itd. mogą być prawdziwą ozdobą każdej dziecinnej biblioteki.

HISTORYA i STATYSTYKA. *Przemyśl i jego okolice, opisał historycznie ks. Wojciech z Zaleszan.* Nowy Sącz. Nakładem autora 1872. Dziełko to, jak i dawniej wydana *Historya Radomyśla nad Sanem przez Aloizego Skoczka* (Kraków 1871) rozpoczyna szereg monografii bardzo pożytecznych dla krajoznawstwa Galicyi.

TEATR. W Poniedz. (29 bm.) urządza komitet akademicki oświaty ludowej *przedstawienie amatorskie w połączeniu z koncertem dyr. Karola Mikulego* na pomnożenie funduszu szkół. Program: „*Anakreon,*“ uwertura L. Cherubiniego, wykona orkiestra koncertowa pod dyrekcyą p. *Mikulego*; „*Motyle,*“ przysłowie dramatyczne w 1 akcie z francuzkiego Emila de Najac, przełożył Bronisław Zawadzki; „*Modlitwa poranna*“ i „*Pierwiosnek,*“ dwa kwartety Mendelssohna - Bartholdy odspiewają artyści opery lwowskiej panna *Marya Kwiecińska*, panna *Weitz*, jakoteż pp. *Borkowski i Cieślewski;* „*Szpada mojego ojca,*“ dramat w 1 akcie z francuzkiego Karola Desnoyers; *Mélodie religieuse* B. Toursa na fortepian (dyr. *Mikuli*), skrzypce (p. *Bruckmann*), wiolonczelę (p. *Wollmann*) i harmonium (p. *Sch.*); *Wizyta pana Feliksa,* komedya w 1 akcie dr. Adama Bełcikowskiego; „*Polska przez lud,*“ cykl obrazów z żywych osób, przyczem p. *Ładnowski* wygłosi stosowny wiersz Wł. Ordona. Nie wątpimy, iż cała publiczność lwowska tłumnie pospieszy na przedstawienie o tak bogatym programie a mające na celu pomnożenie funduszów oświaty ludowej, o których zbieraniu tyle się mówi, a tak mało dotychczas zrobiło.

Autor „*Przeglądów teatralnych*“ umieszczanych w *Gazecie Narodowej* pod pseudonimem *Juniusa*, przesłał tejże Redakcyi następujące pismo:

„Panie Redaktorze! Ponieważ kilkakrotnie już nie mogłem sie zgodzić z sądem Pańskim w poglądach na grę niektórych artystów, uchylam się nadal od prowadzenia krytyki dramatycznej w łamach *Gazety Nar.*“ *Bronisław Zawadzki.*

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.